

DAWNO już nie słyszało się tak spontanicznych braw. Publiczność w Teatrze Narodowym po premierze „Żywota Józepha” skandowała „Dejmek, Dejmek!” — przez kilkanaście minut prowadząc swego rodzaju wojnę nerwów z reżyserem i autorem dramaturgicznego opracowania widowiska, Kazimierzem Dejmkim. Wydzisie, czy nie wyjdzie na scenę? Nie wyszedł. Zresztą i tak znamy go lepiej z tego, co robi w teatrze, niż moglibyśmy go poznać z widzenia.

Nie wyszedł kłaniać się klaszycznej i rozentuzjasmowanej widowni, może to nietakt, ale może właśnie poczucie taktu nie pozwoliło mu zastępować przed nami Mikołaja Reja z Nagłowic, autora „Żywota”, ojca literatury polskiej? Choć sam Dejmek jest przeciw kimś w rodzaju takiego właśnie Reja dla współczesnego polskiego teatru. Rodzi na naszych oczach coś nowego, coś bardzo specjalnego, własnego. Zmaga się z tradycją, z jednej strony czerpie, drugiej się przeciwstawia — klei, ćwiczy, żelazną ręką przeprowadza swoje pomysły — buduje teatr. Co z tego wyniknie?

Przedtem była już „Historia o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka, było już „Stowo o Jakubie Szeli” Brunona Jasińskiego — teraz mamy „Żywot Jozepha”. Wymieniam z prac Dejmka tylko widowiska w podobnym stylu, będące najbardziej własnym jego słowem w teatrze — widowiska, które sam opracowywał, kroił, zsywał... Wydaje się, że to jest prawdziwa jego pasja życiowa. Mieliśmy już w polskim teatrze jednego takiego pasjonata. Był to Leon Schiller. O Dejmku można najbezpieczniej powiedzieć, że jest spadkobiercą Schillera. Tyle że mania Schillera było przetrząsanie lamusa starej muzyki polskiej, muzyki z pogranicza teatru, muzyki śpiewanej; gromadził opery, pastorałki, szopki, wodewile ogródkowe, kabaretowe przeboje... Wynajdywał tam rzeczy, które każdy zawodowy muzykolog odrzuciłby ze wstrę-

tem, jako grafomanie, rupieć, starość. On, jako amator, ale wyposażony w wiedzę, potrafił się w tych rzeczach zakochać. Otrząpywał je, oczyszczał, przedstawiał osłone własnym nieomylnym smakiem.

Podobnie Dejmek. Tyle że

Andrzej Jarecki

Dejmek, Dejmek!...

jest on amatorem-polonistą. Ośmieszony w salonach i na katedrach pocziwego grafomana Reja wydobyl z głębi wieków, pokochał, poprawił, oczyścił, ozdobił — stworzył widowisko, które na tle banalnej produkcji większości naszych teatrów byłszy cudownym brylantem.

I nie jest to tak już oklepana, do niemożliwości wyeksploatowana na naszych scenach tak zwana „próba stylu”, „zabawa teatralna”, „uroczy staroświecki bibelot”, „wdziękie znaleźisko” czy też „rzeźkie technienie staropolskiego humoru, musującego jak stare wino” itp. Jeżeli już zostawał w tym kręgu porównań, jest to raczej lyk tegiej gorzały. Można się upić na tym przedstawieniu — upić się pięknem języka polskiego, z którego dziś tak niewiele zostało, a w którym nigdy każde słowo pachniało jak pszenica... Najpiękniejsze w całej Słowiańszczyźnie było słowo.

Można się upić polskim humorem, w którym każdy dowcip jest jak trąsnięcie tęgą parobczacką dłonią w niewleści pośladek. W głowie może się zakreścić, a w sercu ścisnąć od lirycznego wzruszenia, gdy rodzice Józepa lamentują po stracie syna. Lament ten to prawdziwa perła polskiej poezji, i wspaniała ślad renesansowego

mierzenia się człowieka z Bogiem.

Dejmek posługując się staropolskim tekstem stworzył świetne, nowoczesne widowisko teatralne, wnoszące bezwzględnie wartości dzisiejsze, aktualne. Można się upić na tym



dotatkowo w tym antymorale, trochę zapewne zgodnym z tendencją samego Reja, moralisty nie nazbyt surowego.

Nauki polityczne i moralne, jakie wyciągamy z „Żywota Jozepha”, podbudowuje jeszcze intermedium nazwane „Krotofilą diabelską”, które zawiera satyrę mocniejszą niż wszystko, co dotąd napisano w powojennym dwudziestoleciu. Część widzów nawet się nie śmiała w obawie, by nie pociągnęło ich do odpowiedzialności za wystąpienie antyrządowe. Za to przedstawiciele rządu, na sali śmieli się bardzo głośno.

Zresztą, co tu dużo mówić? Muzykę do przedstawienia pisał sam Gomółka — tyle, że Mikołaj, wespół z innymi pol-

skimi kompozytorami XVI wieku: Wacławem z Szamotuł, Cyprjanem Bazylikim i innymi. Melodie opracował Jerzy Dobrzański, który także dyrygował zespołem dawnych instrumentów, akompaniującym na scenie.

W zespole aktorakim nie było słabych miejsc. Wojciech Siemion w roli cnotliwego młodzieńca Józepa dał popis wdzięcznej obłudy i przestodkiej skromności. Mówił tekst z pięknym umiłowaniem słowa polskiego. Niezrównany team braci Józefowych stworzyli: Jan Kobuszewski, Adam Mularczyk, Bogdan Baer, Michał Gazda oraz nieodparcie śmieszni Zbigniew Kryński i Lech Ordon, ucharakteryzowani na Lelum i Poelium. Tragicznym ojcem żydowskiego pokolenia Jakubowego, zakrojonym trochę na Piastę był Kazimierz Opaliński. Sędziwą Rachel, matkę Józepa grała Barbara Rachwańska, która w drugiej roli Putyfary dała popis swoistego słowiańskiego erotyzmu. Znakomity był Ignacy Machowski, zwłaszcza jako piekarz Zofar, wygłaszający morały spod zubienicy. Niezrównane było wystąpienie Kazimierza Wichniarza z poematem o człowieku, co wszystkie rozумы pojadł, a nie wie, że k... ma w domu.

Doskonali, muzyczny zespół chóralno-taneczny złożony został z wielu świetnych aktorek i aktorów Teatru Narodowego.

